

## Wojciech Stanisławski: Baśń o zbrodni

Kolejnemu dziełu pisarza zwykle bywa trudniej niż olśniewającemu debiutowi, po prostu dlatego że czytając, oswoiliśmy jego sposób pisania i możemy przypuszczać, jakich spodziewać się znaczeń, cięć, obrazów. To stąd bierze się deklarowana przez bibliofilów zazdrość wobec tych, którzy sięgają po raz pierwszy w życiu po arcydzieło. A jednak kolejna powieść Siergieja Lebediewa znów sprawia, że milkniemy.

Tyle, że tym razem nie czujemy się, jakbyśmy zastygli pod jęzorem lodu, jak w „Granicy zapomnienia”, pierwszej jego książce: jest raczej tak, jakby przysypał nas stupudowym ciężarem gruz, żużel, miał.

Od żużlu, szlaki, płonnej skały nie uwolnimy się w trakcie lektury: akcja „Białej Pani” toczy się w całości na wschodzie Ukrainy, w obwodzie donieckim lub ługańskim. Wokół rozciąga się, rozpoznawalny dla każdego, kto chociaż raz zawędrował na wschód od Charkowa, krajobraz „zalesień i pól, wąwozów i sadów, ruin budynków kopalni i biedaszybów, hałd kopalnianych i ogrodów”. Fikcyjna nazwa osady górniczej (Marat) jest oczywiście, jak każde słowo u Lebediewa, znacząca, ale odsyła też do całkiem realnego miasteczka Torez (dziś Czystiakowe) – a ta nić skojarzenia zamienia się w nit, gdy dostrzeżemy, że fabuła książki odwołuje się do zbrodni z pierwszych

miesiące wojny rosyjsko-ukraińskiej 2014 roku: do zestrzelenia przez „ochotników” cywilnego Boeinga malezyjskich linii lotniczych nad osadą Hrabowe.

Dla autorów prostych powieści politycznych (a jeszcze z posmakiem sensacji) byłoby tego aż nadto: „pełzający” podbój rosyjski, zagłada samolotu, próby tuszowania zbrodni aż proszą się o pióro pisarza lub scenarzysty; ukraińska reżyser Maryna Er Horbacz nakręciła zresztą w 2022 film „Klondike”, nagradzany na festiwalach w Berlinie i w Sundance. Ale dla Lebediewa stanowią one zaledwie fabularne rusztowanie, tło. To opowieść tak powściągliwa i „geometryczna”, że można by naszkicować jej strukturę na podobieństwo węzłów wielościanu (kto wie, może jednej z brył antracytu?): rozgrywa się między czworgiem protagonistów w pięciu następujących po sobie dniach.

Oczywiście, nie jest to rzecz aż tak abstrakcyjna i postna, niczym któraś ze sztuk Becketta dla czworga aktorów. W tle mamy starość i umieranie, duszne lato, dzieciństwo w chaosie posowieckich lat, zeschnięte akta i, przede wszystkim chyba, mętną kipiela „opołczeńców”, czyli bandytów i najemników zalewających miasteczko. Chyba po raz pierwszy Lebediew tak zbliżył się do prostego realizmu, w niewielu słowach oddając to, co znaleźliśmy już z ukraińskich powieści traktujących o tej wojnie (myślę przede wszystkim o „Internacie” Żadana) i czego każdego niemal dnia dowiadujemy się od reporterów: paraliżującą obserwatorów i ofiary amoralność najeźdźców, gwałcących, chlejących i obdzierających trupy z tą samą wzgardliwą obojętnością, z pogardą dla swojego i cudzego życia. To orda, która wyroiła się z anomicznych blokowisk rosyjskiej *głubinki* i korzysta z danych jej pięciu minut; jeden zaś z czworga bohaterów, miejscowy żulik uszlachcony służbą w

OMONie, niczym łobuz z poematu Audena „To, że dziewczęta się gwałci, że dwóch zarzyna trzeciego / przyjmuje jako pewnik, nic w tym nie widząc dziwnego”. I to ta przemoc, zuchwała i bezrefleksyjna, której nie brakuje powieści, osypuje się na nas raniącą, szklistą szlaką.

Znak firmowy Lebediewa to jednak służby specjalne. Nie chodzi jednak o służby obserwowane od wewnątrz, szczegółowo i bezlitośnie jak u Le Carrégo, który ukazuje ich metody, ale i słabości. Mówimy o służbach sowieckiego rodzaju będących sekretnym spoiwem, wszechobecnym i dyskretnym utkaniem przenikającym całą materię społeczną, niczym nitki nerwów i przewodów limfatycznych, odsłonięte przez nóż anatoma. U Lebediewa służby przekraczają również, za sprawą nakazu „chranit’ wieczno” bariery czasu, są jedynym repozytorium prawdy historycznej w świecie, gdzie przemienieniu podlegają świadkowie i akta. Prawda ta jednak pozostaje do ich wyłącznego użytku, stanowi wyłącznie narzędzie rządzenia. Tak dzieje się również i na kartkach „Białej Pani”: w dzień po najeździe nadal można uruchomić dawną, sowiecką agenturę, trójgraniasty klucz, w którym zmieniono tylko nacięcia, ciągle pasuje do obitych blachą drzwi składu akt, pozostawionych na Ukrainie w 1991, a „ich zleżałe, pożółkłe kartki przypominają cienkie warstwy skały łupkowej” (to jedno ze zdań, ukazujących mistrzostwo stylistyczne Lebediewa i zapowiadających powrót do tak bliskich mu metafor budowanych w oparciu o geologię). To jedna z pierwszych prawd, nazwanych przez pisarza: Rosja (a w jakiejś mierze cały obszar postkomunistyczny) są jak z wyobrażeń paranoików, wyśmiewanych przez młodych, liberalnych dziennikarzy: dawne sekrety, wiedza o zbrodniach i upadkach stanowią nadal jedno z najsilniejszych spoiw i *vehiculów* społecznych, czasem wstrzymując przemiany, czasem uruchamiając wydarzenia: trujący dym unosi się z szuflad, harpuny otorbione są w mięśniach.

W „Białej Pani” jednak po raz pierwszy dostrzegłem tak wyraźnie, że system powiązań i wpływów, naprawdę przecież stworzony przez sowieckie służby, stanowi jedynie cień siły, która odpowiada za mechanikę wszystkich powieściowych światów stworzonych przez Lebediewa: ukrytych zależności i znaczeń, łączących przedmioty i ludzi poza prostymi, racjonalnymi związkami przyczynowo skutkowymi, poza granicami czasu i przestrzeni, które regulują naszą codzienność.

Takie systemy ukrytych związków i znaczeń oczywiście, zostały przez wielu laty opisane przez semiotyków i antropologów. Waham się z przywołaniem tej nazwy, ponieważ nie ma chyba innego terminu, który zostały tak spłycony, wręcz pozbawiony sensu przez bełkot copywriterów, przez szczebiot gospodyń domowych wybierających karierę influencerek, przez mamrotanie szarlatanek, oferujących na sprzedaż kamienie półszlachetne lub deklarujących się jako „wnuczki czarownic”. Obawiam się jednak, że nie obejdziemy się bez tego pojęcia: lebediewowskim kosmosem rządzi magia.

Jest to magia sprzed ksiąg Frazera, sprzed traktatów alchemicznych, nawet sprzed praktyk szamanów, którym marzyło się, że wezmą na arkan duchy Ziemi i zmuszą je do posłuszeństwa. Jest to magia z dzieciństwa ludzkości – i z indywidualnego dzieciństwa. Nie jest w niej jeszcze rozdzielona wiara w sprawczość słowa, które może działać i leczyć, w znaczenie podobieństw, wiążących byty za sprawą ich atrybutów (podobnego koloru, smaku, kształtu), i w magię kontaktową, w przyciąganie elementów które raz, kiedyś, znalazły się w tym samym miejscu.

Te zależności pojawiały się w powieściach Lebediewa zawsze – wydaje mi się jednak, że na stronach „Białej Pani” jest ich wyjątkowo wiele, że jednym ze słów-kluczy tej książki jest (swoiste dla magii) słówko „jakby”. „Kawałek cementu spadł z sufitu, stuknął w podłogę, *tak jakby* [podkr. moje, ws] coś dużego i groźnego przeszło przez kamienne warstwy”. *Similia similibus*: splatają się ze sobą wstrząs gruntu i wstrząs świata, tykanie budzika przepowiada szczęknięcie zamka karabinu, tynk z socrealistycznego panneau osypuje się tak, że ukazuje rany, jakie odniosły ofiary katastrofy górniczej. To napięcie elektryzowało we wszystkich jego powieściach. Jeśli cokolwiek mógłbym zarzucić „Białej Pani” to jego obfitość i pierwszoplanowość: ta współzależność ludzi i rzeczy, która we wcześniejszych książkach ukazywała się niejasno jak w zwierciadle, snuła się jak dym ofiarny – tu raz i drugi nazwana jest wprost, jakby warstwa uskoku geologicznego wyrwała się, świeża i ostra, na powierzchnię Ziemi: szyb kopalni przedstawiony jest, niczym nordycki Yggdrasil, jak „drzewo trzech światów, łączące głębię, powierzchnię, niebo”, jeden z bohaterów postrzega podobieństwo i przyciąganie się dwóch stalowych struktur jako „coś realnego, odczuwanego fizycznie”...

Proszę jednak nie myśleć, że Lebediew kokietuje w ten sposób przyszłych czytelników, przyzwyczajonych do „magii wakacji”, „magii Świąt” i „magii domowej kuchni”: ci są zbyt zgnuśniali, by podążyć za jakąkolwiek, choćby i najpłytszą i najbardziej fałszywą duchowością, oferowaną dziś przez szamanki w szatach z sieciówki.

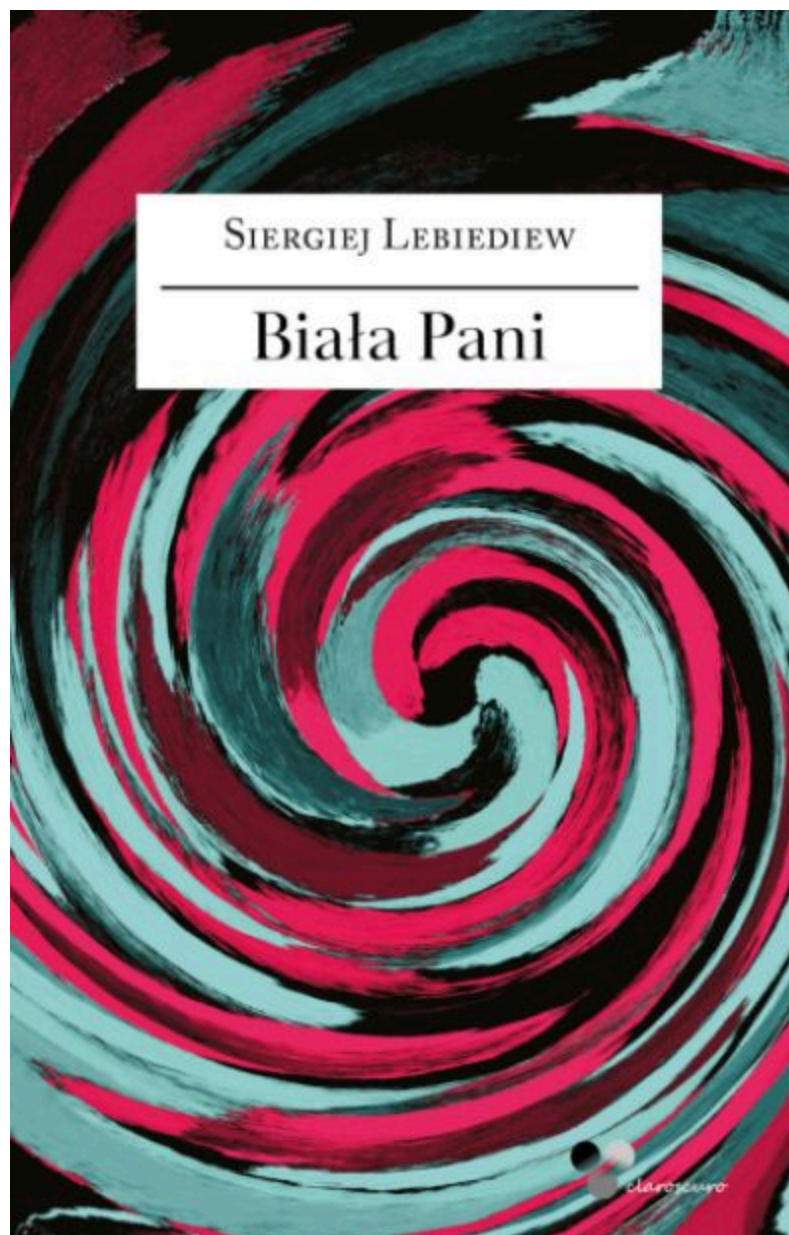
Przypomnę to, co miałem okazję pisać, śledząc pisarstwo rosyjskiego prozaika od lat: jego opowieść snuta jest bardzo precyzyjnie i niezwykle serio. Jest w jego książkach miejsce na obezwładniający

chłód świadka zabójstwa, tortur, operacji specjalnej czy sekcji zwłok – i na olśniewające piękno miniatury (czy kiedykolwiek zapomnę scenę z „Granicy zapomnienia” z kolcem dzikiej róży, dotykającym opuszki ślepego tak, jak gramofonowa igła dotyka rowka płyty? Mam nadzieję, że nie). Jest miejsce na akapit jak żywcem wzięty z podręcznika paleontologii i na wierne naśladownictwo plugawego slangu żulików. Nigdy natomiast chyba nie spotkałem się tam z żartem, sytuacyjnym ani językowym; ironia pojawia się niezwykle rzadko, jeśli – to w gorzkim jak bluźnierstwo wyznaniu ofiary Zagłady, rojącej o „hebroidzie” – nowej formacji skalnej, złożonej ze spetryfikowanych ciał. Lebediew pisze na serio, usiłując przywrócić sens światu, nadać znaczenie losom i wydarzeniom.

Takie podejście jest ogromnym darem – mam nadzieję, że zostanie rozpoznany! – dla czytelników w naszym, „postsekularnym” świecie, gdzie sprawy i losy coraz częściej postrzegane są jak ogromne osypisko, hałda, śmietnik, na którym pojawiają się bez sankcji, bez ładu, bez przyczyny. To najpoważniejszy wymiar jego pisarstwa, obok ukazywania koszmaru pogrążonej w zbrodniach XX wieku Rosji, wymiar, który z każdą kolejną książką jest coraz wyraźniej widoczny.

To podejście, ten naddatek powiązań, sensów i znaczeń sprawił jednak również, że „Biała Pani” rozwija się zgodnie z logiką baśni. Baśni która, jak wiemy po Bettelheimie, pozwala pojąć świat. Ale też baśni, w której rzucona wstecz wstążka rozpływa się w rzekę, a grzebień – wyrasta w las, w których tonie i gubi się pościg. I w tym trochę trybie rozwijają się wypadki w tej powieści – niosąc, w rozpaczliwie realnym świecie gnijących zwłok, szabru i *pierestriełki* bezpieczniejszych klanów szansę na ocalenie głównej bohaterki: córki Białej Pani.

*Wojciech Stanisławski*



**Siergiej Lebiediew, „Biała Pani. Pięć dni w lipcu 2014 roku”, tłum.  
Grzegorz Szymczak, Wydawnictwo Claroscuro, 2025.**

\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---